



NICHOLAS
SPARKS
MICAHA SPARKS

TRZY TYGODNIE
Z MOIM BRATEM

Prolog

Przyczyną powstania tej książki był prospekt turystyczny, który otrzymałem pocztą wiosną dwa tysiące drugiego roku.

W domu Sparksów był to zwykły dzień. Lwią część poranka i wczesnego popołudnia spędziłem, pracując nad powieścią *Noce w Rodanthe*, ale pisanie nie szło mi dobrze i próbowałem jakoś przebrnąć przez ten dzień. Nie udało mi się napisać tyle, ile zaplanowałem, i nie miałem pojęcia, co napiszę jutro, nie byłem więc w najlepszym nastroju, gdy w końcu wyłączyłem komputer, mówiąc sobie, że na dziś dosyć.

Życie z pisarzem nie jest łatwe. Zdaję sobie z tego sprawę, ponieważ żona niejednokrotnie mnie o tym informowała i uczyniła to po raz kolejny tamtego dnia. Szczerze mówiąc, wysłuchiwanie takich rzeczy nie należy do przyjemności i choć łatwo byłoby mi przejść do defensywy, wiedziałem, że kłótnia z żoną nigdy niczego nie rozwiązywała. Toteż zamiast się z nią spierać, nauczyłem się brać ją za rękę, zaglądać

głęboko w oczy, i wypowiadać te trzy magiczne słowa, które każda kobieta pragnie usłyszeć:

— Masz rację, kochanie.

*

Niektórzy ludzie uważają, że skoro odniosłem względny sukces jako autor powieści, pisanie musi przychodzić mi bez najmniejszego wysiłku. Wiele osób wyobraża sobie, że codziennie przez kilka godzin „zapisuję pomysły, które wpadają mi do głowy”, a następnie spędzam resztę dnia, bycząc się przy basenie z żoną i planując kolejne egzotyczne wakacje.

W rzeczywistości nasze życie niewiele różni się od życia przeciętnej rodziny klasy średniej. Nie zatrudniamy służących, nie podróżujemy wiele i chociaż w naszym ogrodzie jest basen, otoczony ogrodowymi krzesłami, nie pamiętam, kiedy na nich odpoczywaliśmy z tej prostej przyczyny, że ani moja żona, ani ja nie mamy czasu, by usiąść w ciągu dnia i oddawać się słodkiemu lenistwu. Mnie nie pozwala na to moja praca. Mojej żonie — rodzina. A ściślej mówiąc, dzieci.

A mamy ich pięcioro. Nie byłoby to dużo, gdybyśmy byli pionierami, ale w dzisiejszych czasach to dość, by niektórzy unosili ze zdziwieniem brwi. W zeszłym roku, kiedy byliśmy z żoną w podróży, wdaliśmy się w rozmowę z innym młodym małżeństwem. Rozmawialiśmy o wielu sprawach, aż wreszcie wypłynął temat dzieci. Owa para miała dwójkę, wymienili ich imiona. Moja żona wytrajkotała ciurkiem imiona naszych.

Na chwilę zapadło milczenie. Tamta kobieta próbowała się połączyć, czy dobrze nas zrozumiała.

— Macie pięcioro dzieci? — spytała w końcu.

— Tak.

Kobieta położyła ze współczuciem dłoń na ramieniu mojej żony.

— Zwariowałaś?

Nasi synowie mają dwanaście, dziesięć i cztery lata, nasze córki bliźniaczki niedługo skończą trzy, i choć jest wiele rzeczy, których jeszcze nie wiem o świecie, jedno wiem z całą pewnością, a mianowicie to, że dzieci w osobliwy sposób pomagają człowiekowi patrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. Starsze dzieciaki już się orientują, że zarabiam na utrzymanie pisaniem powieści, mimo że czasami mam wątpliwości, czy którekolwiek z nich rozumie, co oznacza tworzenie literatury. Kiedy spytano mojego dziesięcioletniego syna podczas prezentacji w klasie, w jaki sposób ojciec zarabia na życie, wypiął dumnie pierś i oznajmił: „Mój tatuś gra na komputerze przez cały dzień!”. Natomiast mój najstarszy syn często mówi mi z absolutną powagą: „Pisanie książek jest łatwe. Trudne jest tylko stukanie w klawiaturę”.

Podobnie jak wielu autorów pracuję w domu, ale na tym kończą się wszelkie podobieństwa. Mój gabinet nie jest ustronnym sanktuarium gdzieś wysoko na piętrze, sąsiaduje z salonem. Kiedy czytam, że niektórzy pisarze muszą mieć absolutny spokój, żeby móc się skoncentrować, cieszę się, że nigdy nie potrzebowałem ciszy do pracy. Całe szczęście, w przeciwnym razie nie napisałbym chyba ani słowa. Musicie zrozumieć, że w naszym domu panuje nieustanny rejwach, od chwili gdy rano wstajemy, aż do momentu kiedy wieczorem padamy na nie do cna wykończeni. Jeden dzień w naszym domu dałby się we znaki niemal każdemu. Po pierwsze, nasze dzieci rozpiera energia. Ogromna energia. Wręcz niesamowita energia. Pomnożona przez pięć, wystarczyłaby do oświetlenia Clevelandu. I dzieciaki jakimś cudownym sposobem karmią się nawzajem swoją energią, każde z nich pochłania i odbija energię drugiego. Nasze trzy psy też ją wykorzystują, chyba żywi się nią cały dom. Na zwykły dzień składają się: przynaj-

mniej jedno chore dziecko, poniewierające się po kątach salonu zabawki, które w tajemniczy sposób pojawiają się z powrotem, choć przed chwilą zostały odłożone na miejsce, szczekanie psów, śmiech dzieci, dzwoniący raz po raz telefon, przesyłki dostarczane oraz wysyłane za pośrednictwem FedExu i UPS, dziecięce marudzenie, nieodrobione zadania, zepsuty sprzęt gospodarstwa domowego, szkolne wypracowania na jutro, o których dzieci przypomniały sobie w ostatniej chwili, trening baseballu, trening piłkarski, trening gimnastyczny, trening taekwondo, przychodzący i wychodzący mechanicy dokonujący napraw, trzaskanie drzwiami, dzieci ganiające się po korytarzu, dzieci gubiące rzeczy, dzieci dokuczające sobie nawzajem, dzieci proszące o coś do jedzenia, dzieci mazgające się, ponieważ upadły i się potłukły, dzieci zwinięte w kłębek na twoich kolanach albo dzieci płaczące, bo potrzebują cię **DOKŁADNIE W TEJ CHWILI!** Kiedy moi teściowie wyjeżdżają po tygodniowej wizycie, nigdy nie udaje im się zdążyć na samolot. Mają podkrążone oczy i oszołomione miny cierpiących na nerwicę frontową weteranów, którzy wyszli cało z lądowania na plaży w Omaha. Zamiast pożegnania mój teść kręci głową i mówi szeptem:

— Powodzenia. Będzie wam potrzebne.

Moja żona traktuje całą tę krzątanicę jako coś absolutnie normalnego. Jest cierpliwa i rzadko się denerwuje. Prawdę mówiąc, najczęściej wygląda tak, jak gdyby znajdowała w tym przyjemność. Moja żona, pozwolę sobie dodać, jest święta.

Albo też faktycznie *jest* niespełna rozumu.

*

W naszym domu wyjmowanie poczty ze skrzynki należy do moich obowiązków. W końcu ktoś musi się tym zajmować,

zatem od początku naszego małżeństwa jest to jedno z tych drobnych zadań, które przypadły mi w udziale.

Dzień, w którym otrzymałem pocztą prospekt, nie różnił się niczym od innych. Sześciomiesięczna wówczas Lexie była przeziębiona i nie pozwalała, by moja żona położyła ją do łóżeczka. Miles pomalował psu ogon fluorescencyjną farbą i głośno się tym popisywał. Ryan powinien był uczyć się do sprawdzianu, lecz zostawił w szkole podręcznik i postanowił „rozwiązać” problem, sprawdzając, jaka ilość papieru toaletowego da się splukać w muszli klozetowej. Landon malował po ścianach — znowu — i nie mogę przypomnieć sobie, co robiła Savannah, ale bez wątplenia było to coś niepokojącego, jako że już w wieku sześciu miesięcy zdążyła wiele się nauczyć od swego rodzeństwa. Dodajmy do tego, że telewizor był włączony na pełny regulator, gotował się obiad, psy czekały, telefon dzwonił i cały ten harmider sięgał zenitu. Przypuszczałem, że nawet moja anielska żona goni resztkami sił. Odsunąłem się od komputera, wziąłem głęboki oddech i wstałem od biurka. Wszedłszy do salonu, objąłem spojrzeniem świat, który wyraźnie oszalał, i instynkt — właściwy wyłącznie mężczyznom — podpowiedział mi, co mam robić. Odchrząknąłem, czując, że uwaga wszystkich chwilowo koncentruje się na mnie, i oznajmiłem spokojnie:

— Idę sprawdzić, czy był już listonosz.

Chwilę później znalazłem się za drzwiami.

*

Ponieważ nasz dom znajduje się z dala od szosy, przejście do skrzynki i z powrotem zajmuje mi zwykle pięć minut. W momencie gdy zamknąłem za sobą drzwi, pandemonium przestało istnieć. Szedłem powoli, rozkoszując się ciszą.

Kiedy znalazłem się z powrotem w domu, spostrzegłem, że moja żona próbuje oczyścić zaślinione okruszki herbatników z bluzki, trzymając na rękach obie bliźniaczki. Landon stał u jej stóp, ciągnąc ją za spodnie i próbując zwrócić na siebie uwagę. Równocześnie pomagała starszym chłopcom w odrabianiu lekcji. Serce wezbrało mi dumą z powodu jej zdolności do wykonywania tak wielu zadań naraz, i to tak sprawnie, podniosłem więc do góry plik listów, żeby mogła je zobaczyć.

— Wyjąłem listy ze skrzynki — powiedziałem.

Podniosła na mnie wzrok.

— Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła — odparła. — Jesteś naprawdę ogromnie pomocny.

— Po prostu robię to, co do mnie należy — zauważyłem, kiwając głową. — Nie masz mi za co dziękować.

Podobnie jak wszyscy dostają bzdurne przesyłki, oddzieliłem więc ważną korespondencję od nieważnej. Zapłaciłem rachunki, przejrzałem artykuły w kilku czasopismach i zamierzałem właśnie wpiąć resztę do segregatora na ulotki reklamowe, gdy mój wzrok padł na prospekt, który odłożyłem w pierwszej chwili na stertę przeznaczoną do wyrzucenia. Miał nadruk Uniwersytetu Notre Dame i reklamował „Podróż do krainy czcicieli nieba”. Wycieczka nosiła nazwę Niebo i Ziemia i obejmowała trzytygodniową podróż dookoła świata na przełomie stycznia i lutego dwa tysiące trzeciego roku.

Interesujące, pomyślałem, i zacząłem czytać uważnie. Program wycieczki — ni mniej, ni więcej, tylko prywatnym odrzutowcem — obejmował ruiny Majów w Gwatemali, ruiny Inków w Peru, kamienne giganty na Wyspie Wielkanocnej oraz polinezyjskie Wyspy Cooka. Przewidywał również zwiedzanie góry wyspowej Ayers Rock w Parku Narodowym Uluru w Australii, świątyni Angkor Wat, Pól Śmierci i Muze-

um Ludobójstwa w Phnom Penh w Kambodży; grobowca Tadź Mahal i fortecy Amber w Dżajpurze w Indiach; zespołu kościołów wykutych w skale w Lalibeli w Etiopii; komory grobowej hipogeum na Malcie, a także innych starożytnych sanktuariów; i wreszcie — jeśli pogoda będzie sprzyjała — możliwość obejrzenia zorzy polarnej w Norwegii, w Tromsø — mieście położonym jakieś pięćset kilometrów za północnym kręgiem polarnym.

Kiedy byłem dzieckiem, zawsze fascynowały mnie starożytne kultury i dalekie kraje, toteż czytając opisy każdego z proponowanych postojów, myślałem: Zawsze chciałem to zobaczyć. Nadarzała się okazja odbycia najwspanialszej w życiu podróży do miejsc, które od dzieciństwa poruszały moją wyobraźnię. Kiedy skończyłem przeglądać prospekt, westchnąłem. Może pewnego dnia...

Teraz zwyczajnie nie miałem czasu. Trzy tygodnie z dala od dzieci? Od żony? Od pracy?

Niemożliwe. Idiotyczne, toteż nie pozostaje mi nic innego, jak zapomnieć o tym. Wsunąłem prospekt na spód sterty.

*

Trudność polegała na tym, że w żaden sposób nie *potrafiłem* zapomnieć o wycieczce.

Widzicie, jestem realistą i liczyłem się z tym, że Cat (zdrobnienie od Cathy) i ja będziemy mieli w przyszłości okazję wyruszyć razem w jakąś podróż. Wiedziałem, że być może kiedyś uda mi się przekonać żonę, by pojechała ze mną zobaczyć Tadź Mahal czy Angkor Wat, lecz Wyspa Wielkanocna, Etiopia lub gwatemalska dżungla nie wchodziły w grę. Leżą bowiem tak daleko i jest tak wiele innych rzeczy do zobaczenia i miejsc na świecie, które chciałoby się odwiedzić, że podróż do tak oddalonych rejonów zawsze będzie

należała do kategorii „Może pewnego dnia...”. Byłem niemal absolutnie przekonany, że to „pewnego dnia” nigdy nie nastąpi.

A tu nadarzała się szansa obejrzenia tego wszystkiego za jednym zamachem, toteż dziesięć minut później — kiedy kakofonia w salonie ucichła równie tajemniczo, jak wybuchła — stałem w kuchni z żoną, otwarty prospekt leżał na bufecie. Wyliczałem główne atrakcje, niczym dziecko opisujące pobyt na letnim obozie, a Cathy, która dawno już przywykła do moich fantastycznych pomysłów, po prostu słuchała, gdy plotłem bez ładu i składu. Kiedy skończyłem, pokiwała głową.

— Hmm... — mruknęła.

— Czy to jest dobre hmm czy złe hmm?

— Ani takie, ani takie. Zwyczajnie zastanawiam się, po co mi to pokazujesz. Przecież nie możemy wyjechać.

— Jasne — odparłem. — Pomyślałem tylko, że może chciałabyś rzucić na to okiem.

Moja żona, która zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, wiedziała, że kryje się za tym coś więcej.

— Hmm — powtórzyła.

*

Dwa dni później spacerowaliśmy z żoną po okolicy. Nasi najstarsi synowie biegli przed nami, my pchaliśmy w wózkach pozostałą trójkę dzieciaków, kiedy wróciłem do tematu.

— Myślałem o tamtej podróży — powiedziałem niby od niechcienia.

— Jakiej podróży?

— Tej dookoła świata. Opisaney w prospekcie, który ci pokazywałem.

— Dlaczego?

— Cóż... — Wzięłam głęboki oddech. — Chciałabyś pojechać?

Przeszła kilka kroków, zanim mi odpowiedziała.

— Oczywiście, że bym chciała. Z pewnością to wspaniała eskapada, ale niestety nierealna. Jak mogłabym zostawić dzieci na trzy tygodnie? A gdyby tak coś się stało? Nie ma mowy, byśmy zdążyli wrócić w razie jakiegoś wypadku. Ile jest rejsów nawet do takiego miejsca jak Wyspa Wielkanocna? Lexie i Savannah to ciągle jeszcze małeństwa i potrzebują mnie. Zresztą wszystkie dzieciaki mnie potrzebują... — Umilkła na chwilę. — Może inne matki zdecydowałyby się na taki wyjazd, ale nie ja.

Skinąłem głową. Znałem z góry jej odpowiedź.

— A czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym ja pojechał?

Przyjrzała mi się bacznie. Już i tak podróżowałem wiele w związku z moją pracą i z promocją książek. Zajmowało mi to dwa, a nawet trzy miesiące w roku i moje wyjazdy zawsze były trudne dla rodziny. Mimo że czasem nie jestem zbyt skory, by rzucać się na łeb na szyję w rozszałale pandemium, nie jestem też w domu *kompletnie* nieprzydatny. Zgodnie z rozkładem swego dnia Cat często bywa poza domem — jada od czasu do czasu śniadanie z przyjaciółkami, regularnie udziela się w szkole, ćwiczy w siłowni, grywa w karty z grupką pań i załatwia rozmaite sprawy. Oboje zdajemy sobie sprawę, że musi wyrwać się z domu, żeby całkiem nie zwariować. W takich chwilach odgrywam rolę samotnego ojca. Kiedy jednak wyjeżdżam, robienie czegokolwiek poza domem nastęrcza jej trudności, jeśli nie staje się w ogóle niemożliwe. Nie wpływa to najlepiej na samopoczucie mojej żony.

W dodatku nasze dzieci lubią mieć koło siebie *oboje* rodziców. Możecie sobie wyobrazić, że kiedy wyjeżdżam, rozgar-

diasz w naszym domu potęguje się, jakby miał zapełnić lukę wywołaną moją nieobecnością. Wystarczy powiedzieć, że Cathy zaczyna mieć dość tych podróży. Rozumie, że są nierozzerwalnie związane z moją pracą, nie oznacza to jednak, że je lubi.

Dlatego pytanie było niebezpieczne.

— To dla ciebie naprawdę tak bardzo ważne? — spytała w końcu.

— Nie — odpowiedziałem szczerze. — Jeśli nie chcesz, żebym pojechał, to nie pojedę. Ale mam ochotę.

— I pojechałbyś sam?

Pokręciłem przecząco głową.

— Prawdę mówiąc, myślałem o tym, żeby wybrać się tam z Micahem — odparłem, mając na myśli mojego brata.

Szliśmy parę kroków w milczeniu, po czym Cat spojrzała mi w oczy.

— Myślę — powiedziała — że to naprawdę wspaniały pomysł.

*

Gdy wróciliśmy ze spaceru — ja w stanie oszołomienia pomieszanego z niedowierzaniem — udałem się do gabinetu, żeby zadzwonić do Kalifornii, do mojego brata.

Słyszałem sygnał w słuchawce telefonu, dźwięk bardziej odległy niż na linii naziemnej. Micah nigdy nie odbierał telefonu stacjonarnego. Jeśli chciałem z nim porozmawiać, musiałem dzwonić na komórkę.

— Cześć, Nicky — zaczął. — Co się dzieje?

Mojemu bratu wyświetla się numer dzwoniącego, poza tym wciąż ma w zwyczaju zdrabniać moje imię jak w dzieciństwie. Jeśli chodzi o ścisłość, przestano nazywać mnie Nickym w piątej klasie.

— Mam coś, co, jak sądzę, cię zainteresuje.

— No to gadaj.

— Przysłano mi pocztą pewien prospekt i... w każdym razie, krótko mówiąc, jestem ciekaw, czy miałbyś ochotę wybrać się ze mną w podróż dookoła świata. W styczniu.

— Jaką podróż?

Przez następne kilka minut opisywałem główne atrakcje, przerzucając jednocześnie prospekt. Gdy skończyłem, po drugiej stronie panowało milczenie.

— Doprawdy? — spytał. — I Cat zamierza cię puścić?

— Powiedziała, że tak. — Zawahałem się. — Posłuchaj, wiem, że to poważna decyzja, toteż nie wymagam od ciebie natychmiastowej odpowiedzi. Mamy mnóstwo czasu, zanim będziemy musieli potwierdzić rezerwację. Chciałem tylko, żebyś to przemyślał. To znaczy, jestem pewien, że musisz uzgodnić wszystko z Christine. Trzy tygodnie to dużo czasu.

Christine jest żoną mojego brata. W tle słyszę cichy płacz ich nowo narodzonej córeczki Peyton.

— Jestem pewien, że Christine nie będzie miała nic przeciwko temu. Ale spytam ją i oddzwonię.

— Chcesz, żebym wysłał ci prospekt?

— Oczywiście — odpowiedział. — Chyba powinienem wiedzieć, dokąd się wybieramy, prawda?

— Wyślę go dzisiaj FedExem — obiecałem. — I wiesz co, Micah?

— Tak?

— To będzie najwspanialsza podróż w naszym życiu.

— Jestem tego pewien, braciszku. — Oczyma wyobraźni widziałem, jak Micah uśmiecha się po drugiej stronie linii. — Jestem tego pewien.

Pożegnaliśmy się, po czym, gdy odłożyłem słuchawkę, zacząłem przyglądać się rodzinnym fotografiom, stojącym

na półkach w moim gabinecie. Przeważnie są to zdjęcia dzieci — kiedy jeszcze były niemowlętami, i późniejsze — kiedy uczyły się chodzić. Było wśród nich zdjęcie wszystkich pięciorga, zrobione podczas ostatniej Gwiazdki, zaledwie dwa miesiące wcześniej. Obok stała fotografia Cathy. Pod wpływem impulsu wzięłem ramkę do ręki, myśląc o poświęceniu, na jakie się zdobyła.

Nie, bynajmniej nie zachwycała jej perspektywa mojego wyjazdu na trzy tygodnie; nie będzie mnie pod ręką do pomocy przy pięciorgu dzieciach. Na jej barki spadnie cały ten ciężar, podczas gdy ja będę podróżował sobie po świecie.

Dlaczego wobec tego tak łatwo się zgodziła?

Jak już powiedziałem, żona rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny i doskonale zdawała sobie sprawę, że moje gwałtowne pragnienie wyjazdu mniej się wiąże z samą podróżą, a bardziej z chęcią spędzenia czasu z moim bratem.

I dlatego jest to opowieść o braterskich uczuciach.

Jest to opowieść o Micahu i o mnie, jak również o całej naszej rodzinie. Opowieść o tragedii i radości, nadziei i wzajemnym wspieraniu się. Opowieść o tym, jak obaj dojrzewaliśmy, zmienialiśmy się i wybraliśmy różne życiowe drogi, ale jakimś sposobem staliśmy się sobie jeszcze bliżsi. Innymi słowy, jest to opowieść o dwóch podróżach. Tej, która zaprowadziła brata i mnie do egzotycznych miejsc na świecie, i drugiej, w założeniu najwspanialszej w życiu, która sprawiła, że staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi.

Rozdział 1



Wiele historii rozpoczyna się od prostej lekcji, nasza opowieść rodzinna nie stanowi wyjątku. Gwoli zwięzłości, streszczę ją.

Na początku zostały poczęte dzieci — my. A płynąca z tego nauczka — przynajmniej według mojej katolickiej matki — brzmi:

— Zawsze pamiętaj, że niezależnie od tego, co mówi Kościół, naturalna metoda antykoncepcji *nie zdaje* egzaminu.

Spojrzałem na nią, w tamtym czasie dwunastoletni chłopiec.

— Chcesz przez to powiedzieć, że my wszyscy jesteśmy dziełem *przypadku*?

— Tak, dokładnie wszyscy.

— Ale szczęśliwego przypadku, prawda?

— Najszczęśliwszego — odpowiedziała z uśmiechem.

Mimo to, wysłuchawszy tej opowieści, nie byłem całkiem pewny, co myśleć. Z jednej strony było oczywiste, że mama nie żałuje, iż nas ma, z drugiej strony natomiast moje ego cierpiało, gdy myślałem o sobie jako o czymś przypadkowym lub zastanawiałem się, czy moje pojawienie się na świecie nie było skutkiem wypicia jednego za dużo kieliszka szampana. Posłużyło to jednak wyjaśnieniu pewnych spraw, ponieważ zawsze ciekawiło mnie, dlaczego nasi rodzice nie odczekali trochę, zanim zdecydowali się na dzieci. Z pewnością nie byli jeszcze gotowi na nas, ale też nie wydaje mi się, żeby byli już gotowi na małżeństwo.

I matka, i ojciec urodzili się w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, a obaj dziadkowie służyli w wojsku we wczesnym okresie drugiej wojny światowej. Dziadek ze strony ojca był zawodowym oficerem. Mój tata, Patrick Michael Sparks, spędził dzieciństwo, przenosząc się z jednej bazy wojskowej do drugiej i wychowując się głównie pod opieką matki. Był najstarszy z pięciorga rodzeństwa, bardzo inteligentny. Uczył się w szkole z internatem w Anglii, zanim przyjęto go na Uniwersytet Creighton w Omaha, w Nebrasce. Tam właśnie poznał moją mamę, Jill Emmę Marie Thoene.

Podobnie jak ojciec mama była najstarsza z rodzeństwa. Miała trójkę młodszych braci i siostr. Dorastała w Nebrasce, gdzie na całe życie pokochała konie. Jej ojciec był przedsiębiorcą, który prowadził rozmaite firmy. Kiedy mama miała kilkanaście lat, był właścicielem kina w Lyons, małym miasteczku liczącym kilkuset mieszkańców, położonym w bok od autostrady, pośród pól uprawnych. Mama twierdziła, że kino stało się w pewnym stopniu przyczyną jej wyjazdu do szkoły z internatem. Podobno wysłano ją tam, ponieważ została

przyłapaną na całowaniu się z chłopakiem, chociaż gdy spytałem o to moją babcię, stanowczo temu zaprzeczyła.

— Twoja matka zawsze lubiła opowiadać niestworzone rzeczy — poinformowała mnie babcia. — Plotła, co jej ślina na język przyniosła, żeby zobaczyć waszą reakcję, dzieciaki.

— Dlaczego więc wysłaliście ją do szkoły z internatem?

— Z powodu wszystkich tych morderstw — wyjaśniła babcia. — W tamtym czasie zamordowano wiele dziewcząt w Lyons.

Rozumiem.

Tak czy owak, po ukończeniu szkoły mama, podobnie jak ojciec, studiowała na Uniwersytecie Creighton, i przypuszczam, że to podobieństwo losów moich rodziców wzbudziło ich wzajemne zainteresowanie. Obojętne, jaki był powód, zaczęli umawiać się na randki na drugim roku studiów i stopniowo zakochali się w sobie. Chodzili ze sobą nieco ponad rok i mieli oboje po dwadzieścia jeden lat, kiedy pobrali się trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, przed rozpoczęciem ostatniego roku na uczelni.

Po upływie kilku miesięcy zawiodła naturalna metoda regulacji urodzin i mama dostała swoją pierwszą nauczkę ze wszystkich trzech. Pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku urodził się Micah. Wiosną okazało się, że mama znowu jest w ciąży i trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku urodziłem się ja. Kolejnej wiosny znowu okazało się, że jest w błogosławnym stanie z moją siostrą Daną i od tej chwili wzięła kwestię zapobiegania ciąży w swoje ręce.

Po uzyskaniu licencjatu tata postanowił zrobić magisterium w dziedzinie zarządzania na Uniwersytecie Minnesota i cała rodzina przeniosła się jesienią tysiąc dziewięćset sześćdzie-

siątego szóstego roku w okolicy Watertown. Moja siostra Dana urodziła się, podobnie jak ja, trzydziestego pierwszego grudnia, a mama została w domu, poświęcając się wychowywaniu nas, tymczasem ojciec w ciągu dnia chodził na zajęcia, a wieczorami pracował jako barman.

Ponieważ moich rodziców nie było stać na płacenie wysokiego czynszu, mieszkaliśmy sporo kilometrów za miastem, w starym wiejskim domu. Matka przysięgała, że w nim straszy. Po wielu latach powiedziała mi, że widziała i słyszała późno w nocy różne rzeczy — płacz, śmiech i ciche rozmowy — ale gdy tylko wstawała, żeby zajrzeć do nas, odgłosy cichły.

Bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że uległa halucynacjom. Nie dlatego, że była wariatką — moja mama należała chyba do najbardziej opanowanych ze wszystkich znanych mi osób — lecz dlatego, że musiała przez pierwsze kilka lat żyć w absolutnym skołowaniu i wyczerpaniu. I nie mam tu na myśli zmęczenia, któremu można łatwo zaradzić, śpiąc dłużej przez parę dni. Mówię o rodzaju niekończącego się fizycznego, umysłowego i emocjonalnego przemęczenia, które sprawia, że człowiek czuje się, jak gdyby kręcił się w kółko, pociągany za uszy, zanim padnie na kuchenny stół. Jej życie musiało przypominać absolutne piekło. Rozpoczynając je z trójką maluchów, zawiniętych w pieluchy z tetry, była kompletnie wyobcowana — z wyjątkiem chwil, kiedy przyjeżdżała z wizytą babcia — przez kolejne dwa lata. Nie było w pobliżu rodziny, która służyłaby pomocą. Byliśmy biedni jak myszy kościelne i mieszkaliśmy tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Mama nie mogła nawet wybrać się do najbliższego miasteczka, ponieważ ojciec jeździł samochodem zarówno na uczelnię, jak i do pracy. Jeśli dodać do tego parę zim w Minnesocie, gdzie śnieg sięgał dosłownie po dach,

odjąć od równania wiecznie zajętego ojca i dorzucić niekończące się marudzenie i płacz niemowlęcia oraz niewiele starszych brzdąców, to nawet wtedy nie jestem pewien, czy można sobie wyobrazić, jak musiała być nieszczęśliwa. Mój tata nie był szczególnie pomocny — w tym momencie swego życia po prostu nie mógł. Często zastanawiałem się, dlaczego nie podjął stałej pracy, ale nie zrobił tego. Wszystko, na co go było stać, to dorywcza praca i chodzenie na zajęcia. Wychodził z domu wcześniej rano i wracał, gdy wszyscy dawno już leżeli w łóżkach. Toteż, poza trójką małych dzieci, mama nie miała w ogóle z kim rozmawiać. Mijały dni, a nawet tygodnie bez pogawędki z kimś dorosłym.



Ponieważ Micah był najstarszy, mama obarczyła go obowiązkami, które znacznie wykraczały poza możliwości dziecka w jego wieku — z pewnością większymi niż kiedykolwiek powierzyłbym moim dzieciom. Od małego wbijała nam do głowy staroświeckie, typowe dla Środkowego Zachodu wartości, i w krótkim czasie mój brat otrzymał polecenie: „Twoim zadaniem jest zajmowanie się bratem i siostrą, bez względu na to, co się będzie działo”. I robił to, kiedy miał trzy latka. Pomagał karmić mnie i moją siostrzyczkę, kapał nas, zabawiał, pilnował, gdy dreptaliśmy niepewnie po podwórku. W naszych rodzinnych albumach są zdjęcia Micaha kołyszącego siostrę do snu i jednocześnie karmiącego ją z butelki, choć był niewiele od niej większy. Później zrozumiałem, że było to dla niego dobre, ponieważ człowiek musi *nauczyć się* poczucia odpowiedzialności. Nie pojawia się ono jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pewnego dnia tylko dlatego, że nagle jest człowiekowi potrzebne. Ale ja sądzę, że skoro często traktowano Micaha jak dorosłego, naprawdę uwierzył, że jest dorosły i należą mu się pewne prawa. Chyba to właśnie sprawiło, że poczuł się dorosły na długo przedtem, zanim poszedł do szkoły.

Prawdę mówiąc, moje najwcześniejsze wspomnienia związane są z bratem. Miałem dwa i pół roku, a Micah trzy i pół. Był weekend pod koniec lata, trawa wyrosła na trzydzieści centymetrów. Tata zamierzał ją skosić, wyciągnął kosiarkę z szopy. Micah uwielbiał kosiarkę, pamiętam jak przez mgłę, że mój brat błagał ojca, by pozwolił mu kosić, chociaż nie był dość silny, by ją pchać. Ojciec, rzecz jasna, nie pozwolił, ale mój brat — który ważył zaledwie piętnaście kilogramów — nie potrafił zrozumieć logiki sytuacji. Ani, jak powiedział mi później, nie zamierzał pogodzić się z takim nonsensem.

Przytaczam jego własne słowa: „Postanowiłem uciec”.

Wiem, co teraz myślicie. Miał zaledwie trzy i pół roku — jak daleko mógł uciec? Mój najstarszy syn Miles zagroził, że ucieknie, będąc w tym samym wieku.

— Proszę bardzo — powiedzieliśmy z żoną. — Tylko pamiętaj, żeby nie pójść dalej niż za róg.

Miles, który był łagodnym i nieśmiałym chłopcem, naprawdę nie wypuściłby się dalej niż za róg, no i Cathy i ja obserwowalibyśmy go z kuchennego okna.

Ale mój brat był innym dzieckiem Jego tok myślenia był następujący: Ucieknę daleko, a ponieważ mam się zawsze zajmować bratem i siostrą, wobec tego muszę chyba zabrać ich ze sobą.

Tak też uczynił. Załadował naszą osiemnastomiesięczną siostrzyczkę do wózka, wziął mnie za rękę i skradając się za żywopłotem, żeby rodzice nas nie zauważyli, ruszył z nami w stronę miasteczka. Nawiasem mówiąc, do miasteczka były trzy kilometry i trzeba było przejść na drugą stronę ruchliwej dwupasmowej szosy.

Prawie nam się udało uciec. Pamiętam, że maszerowaliśmy przez pola zarośnięte zielskiem niemal mojego wzrostu, przyglądając się motyloom, które wzbijały się w kierunku bezchmurnego nieba. Mieliśmy wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim dotarliśmy do szosy. Staliśmy na poboczu — trójka dzieciaków poniżej czterech lat, jedno z pieluchą — zmagając się z silnymi podmuchami wiatru, gdy tymczasem ogromne ciężarówki i samochody osobowe przemykały obok nas z prędkością stu kilometrów na godzinę, w odległości nie większej niż pół metra. Pamiętam, jak brat przykazywał mi: „Kiedy ci powiem, masz biec bardzo szybko!”, jak również dźwięk klaksonów i pisk opon po tym, gdy krzyknął: „Biegnij!”, a ja podreptałem przez drogę, starając się dotrzymać mu kroku.

Później pamiętam wszystko jak przez mgłę — zmęczyłem się, zgłodniałem, aż w końcu wgramoliłem się do wózka, w którym siedziała moja siostra, a brat ciągnął nas niczym zaprzęgowy husky. Ale pamiętam również, że byłem z niego dumny. To była frajda, to była przygoda. I pomimo wszystko czułem się bezpieczny. Opiekował się mną Micah, a przecież mama powtarzała mi zawsze: „Rób, co ci każe twój brat”.

Nawet wtedy uczyniłem, co mi kazano. W przeciwieństwie do mojego brata w dzieciństwie posłusznie wykonywałem polecenia.

Pamiętam też, że po jakimś czasie szliśmy wiaduktem ku szczytowi wzgórza. Gdy już się tam znaleźliśmy, przed nami rozpostarła się panorama miasta w dolinie. Wiele lat później zrozumiałem, że musieliśmy zniknąć na kilka *godzin* — małe nóżki mogły pokonać w takim tempie zaledwie jakieś trzy kilometry — i przypominam sobie jak przez mgłę, że brat obiecywał nam lody. Właśnie w tym momencie usłyszeliśmy krzyk i gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem matkę biegnącą jak szalona drogą za nami. Wołała, żebyśmy się zatrzymali, wymachując dziko nad głową packą na muchy.

Przy sposobności dodam, że był to jej sposób karania nas. Packa na muchy.

Mój brat nienawidził packi na muchy.

*

Micah bezsprzecznie był najczęściej z nas karany packą. Mama lubiła ją, bo mimo że uderzenie nią piekło, tak naprawdę nie bolało, poza tym rozlegał się głośny dźwięk, gdy packa stykała się z pieluchą lub spodenkami. Wrażenie robił przede wszystkim sam dźwięk — przypominający pęknięcie balonika — i po dziś dzień czuję dziwny rodzaj podniecenia, kiedy używam packi, tłukąc owady w moim domu.